

## Łukasz Maślanka: Czy wyrastać z romantyzmu?

Istnieje jakiś niedemokratyczny w swoim jądrze przymus, który zmusza władze niemieckie do mniej idealistycznego postępowania niż zdawaliby sobie tego życzyć obywatele tego kraju



**Istnieje jakiś niedemokratyczny w swoim jądrze przymus, który zmusza władze niemieckie do mniej idealistycznego postępowania niż zdawaliby sobie tego życzyć obywatele tego kraju**

Kiedy Jacques Bainville pisał książkę poświęconą polityce kanclerza Otto von Bismarcka (*Bismarck* – 1932), stawiał sobie za cel unaocznienie błędów polityki francuskiej, opartej o zasadę prawa samostanowienia narodów, które zostały skrzętnie wykorzystane dla uformowania się nowoczesnego państwa niemieckiego. Bainville, zatwardziały kontrrewolucjonista, zrećźnie przedstawił katalog nonsensów i sentymentalnych nadziei, które Napoleon III starał się przeciwstawić rosnącym apetytom imperialnym Prus. Oprócz tradycji bonapartystycznych i republikańskich, drugim celem ataku największego historyka Akcji Francuskiej, stał się romantyzm.

Zdaniem Bainville'a nieprzygotowanie do agresji niemieckiej z roku 1870 wynikało z obrazu tego narodu, który uformował się w umyśle każdego wykształconego Francuza pod wpływem takich dzieł jak *De l'Allemagne*, autorstwa pani de Staël. Zwykło się bowiem postrzegać sąsiadów zza Renu jako „naród poetów i filozofów”, pogrążony w

niekreślonym bagnie niepolityczności (słynne *marais germanique*). Nie budzi zatem zdziwienia szok i trauma, jakie pozostawił w wyobraźni kolektywnej Francuzów najazd pruski. Brutalność i skuteczność zwycięzcy wymusiła natychmiastowe przewartościowanie pewnych sądów, które uchodziły za aksjomaty. Jednym z nich był tradycyjny antagonizm francusko-austriacki, pozostałość konfliktów sięgających średniowiecza, wzmocniony dodatkowo przez antykatolicyzm zwolenników Rewolucji. Bainville udowadnia, że przesąd ten był całkowicie nieaktualny już w czasach Napoleona I, gdyż prawdziwym wrogiem Francji na terenie Rzeszy były, są i pozostaną Prusy.

Zaborczość Habsburgów miała, zdaniem zwolenników rewolucyjnej polityki, doprowadzić do zniewolenia „narodu poetów i filozofów” pod arcykatolickim batem. Nie zauważano jednak, że znacznie bardziej zaborczy i znacznie bardziej skuteczny w realizacji swoich celów okazał się luterkański dwór Hohenzollernów ze swoim politycznym kierownikiem – Bismarckiem. Nie przytaczam tu jednak poglądów Bainville'a, aby rozczulać się nad Francją, albo żeby zajmować stanowisko w dawno nieaktualnej dyskusji. Pasjonuje mnie coś, co nie interesowało w tym stopniu francuskiego patrioty.

Zastanawiam się mianowicie nad czynnikami, które przesądziły o skuteczności pruskiego modelu zjednoczenia i o nadzwyczajnej dyscyplinie, z jaką reszta Niemców (charakterologicznie zupełnie różnych od ziomków z Berlina i Królewca) się mu poddała. Wielką rolę psychologiczną z całą pewnością odegrało zwycięstwo Prusaków nad Austriakami w wojnie 1866 roku. Pogrom C.K. Armii uświadomił ówczesnej opinii publicznej całkowite zacofanie organizacyjne i ideowe wielonarodowej monarchii. Zależność, w jaką Austria popadła względem Niemiec, uniemożliwiła jakiegokolwiek odwrócenie wektorów

jej polityki zagranicznej w celu ratowania własnej podmiotowości. Być może właśnie ten czynnik okazał się decydujący dla władz bawarskich, wirtemburskich, heskich, saksońskich które uznały, że sprzeciwianie się berlińskiej unifikacji byłoby „kopaniem się z koniem”.

Należałoby z tego wysnuć wniosek, że Zjednoczenie było formą aksamitnej okupacji apolitycznego ciała Niemiec południowych i wolnych miast kupieckich Północy przez silne, jednolicie zorganizowane ciało pruskie. W wielkim uproszczeniu można powiedzieć, że pacyfistyczna część Niemiec uprawiała poezję, filozofię, a także zajmowała się rolnictwem i przemysłem na rzecz zmilitaryzowanej części pruskiej, która z kolei odwdzięczyła się swoistym zastrzykiem polityczności i podmiotowości.

Wśród radykalnie republikańskich historyków francuskich okresu po wojnie roku 1870, znaleźli się również i tacy, którzy chwalili porażkę swojego kraju z punktu widzenia dziejowej sprawiedliwości. Uznali, że racjonalny duch świecko-protestancki zapanował w ten sposób nad katolicko-despotycznym duchem Francji. Sam Napoleon III docenił wyższość pruskiego państwa narodowego nowego typu nad swoim własnym i w pamiętnikach z okresu po klęsce roku 1870 wyrażał nadzieję, że racjonalność Bismarcka doprowadzi do restauracji siły Francji według wzorów pruskich. Jego podziw dla swojego wroga był zatem tak wielki, że oczekiwał od niego pozytywnego załatwienia swoich spraw – spraw strony zwyciężonej.

Te refleksje towarzyszyły mi podczas lektury ostatnich raportów Piotra Cywińskiego (*Uważam Rze*) i Tomasza Gabisia (*Arcana*) poświęconych aktualnej sytuacji politycznej Republiki Federalnej Niemiec. W obydwu

tekstach prezentuje się oceny gabinetu Angeli Merkel, funkcjonujące wewnątrz tamtejszej polityki. Cywiński (*Wojna o cokół*) broni pani kanclerz przed zarzutami jej znanego poprzednika, Helmuta Kohla. Przedstawia przedziwny paradoks, który wydaje mi się porównywalny do tego XIX-to wiecznego zestawienia obrazu „narodu poetów i filozofów” z szokiem brutalnego najazdu, jaki nastąpił w wyniku działań zjednoczeniowych pod egidą Prus. Otóż z przytoczonych przez Cywińskiego wypowiedzi wynika, że obydwie ekipy, które dochodziły w RFN do władzy po Zjednoczeniu (czyli SPD Gerharda Schrödera oraz CDU Angeli Merkel), czyniły to pod hasłami prowadzenia bardziej idealistycznej polityki zagranicznej – takiej, która uwzględniałaby wrażliwość narodów Europy Środkowej, przyjaźń niemiecko-francuską oraz potrzeby sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Te same argumenty powiela również Helmut Kohl zarzucając Angeli Merkel indyferentyzm w sprawach Libii (zatarg z USA) oraz nadmierny flirt z Rosją (zatarg z Polską). Zapomina jednak o tym, że sam prowadził niezwykle pragmatyczną politykę wobec obydwu tych mocarstw; taką, która stawiała niejednokrotnie pod znakiem zapytania proatlantyckie nastawienie RFN. O tym, co robił Gerhard Schröder, nie trzeba przypominać – wystarczy wskazać na funkcję, którą pełni obecnie. Również Angela Merkel, zaciekle krytyk niejasnych powiązań Schrödera z Gazpromem, po wyborach okazała się bardziej filorosyjska i ostrożniej nastawiona do USA.

Wydaje się zatem, że istnieje jakiś niedemokratyczny w swoim jądrze przymus, który zmusza władze niemieckie do mniej idealistycznego postępowania niż zdawaliby sobie tego życzyć obywatele tego kraju. Przedziwna to sytuacja, gdyż w większości innych państw jest odwrotnie. Kampania wyborcza to czas, kiedy politycy mają raczej w zwyczaju prężyć muskuły i obiecywać bardziej asertywne ruchy w polityce zewnętrznej.

Czy mamy do czynienia z powieleniem schematu bismarckowskiego? Całkiem możliwe, że elita polityczna RFN uważa swoje społeczeństwo za ten, wspomniany tu wielokrotnie, „naród poetów i filozofów”, stanowiący kulturalną i materialną bazę potęgi Niemiec, ale nie potrafiący nadać sam sobie sensu jego trwania w wymiarze geopolitycznym. Z drugiej strony ci „poeci i filozofowie” z wielkim posłuszeństwem i zdyscyplinowaniem oddają się w ręce każdego, kto tę polityczność reprezentuje, czasami pod bardziej idealistycznymi hasłami niż to okazuje się w rzeczywistości.

Powyższa konstatacja pozwala mi przejść do sprawozdania Tomasza Gabisia (*Przegląd Niemiecki XV*), z którego zainteresowało mnie tylko omówienie tekstu związanego z CDU pisarza Alexandra Gaulanda, utyskującego na odejście rządu federalnego od pryncypiów chrześcijańskiej demokracji okresu bońskiego i całkowite podporządkowanie się pragnieniu utrzymania władzy oraz realizowania modelu europejskiej poprawności politycznej. Ma ona się przejawiać chociażby rezygnacją z energetyki jądrowej, albo niewolniczym wcielaniem w życie programu parytetów płciowych. Wierny swoim konserwatywnym przekonaniom Gauland nie zauważa, że porzucenie atomu stanowi nie tylko realizację romantycznego (sic!) życzenia „narodu poetów i filozofów”, ale także sprytny i mocno politycznie uzasadniony sposób na zerwanie z francuskimi technologiami w energetyce. Wspieranie zaś przez rząd federalny modelu integracji europejskiej, opartego o idee szeroko rozumianej lewicy postmodernistycznej, może być tylko pięknym, romantycznym (sic!) parawanem dla konstruowania Europy niemieckiej.

Chcę przez to powiedzieć, że ta domniemana bezideowość rządu federalnego to coś innego niż postpolityczna rzeczywistość rządzonej przez Platformę Obywatelską III Rzeczypospolitej. Gospodarcza nieracjonalność (rezygnacja z atomu pod płaszczykiem romantycznych (sic!) idei lewicowych) okazuje się być poważnym ciosem dla dotychczasowego sojusznika, zaś promocja postmodernistycznego modelu integracji europejskiej, środkiem walki o hegemonię polityczną. Alexander Gauland postrzega działania rządu niemieckiego z perspektywy pracowitego rolnika, solidnego rzemieślnika, albo skrupulatnego urzędnika, czyli mrówek, bez których potencjalna siła Niemiec nigdy nie mogłaby się wykształcić. Brakuje mu jednak spojrzenia geopolitycznego, do którego zdolny jest jedynie czynnik sprawujący w Niemczech władzę i decydujący o tym, jak potencjalną, wytworzoną przez mrówki, siłę zaktualizować.

Kilka miesięcy temu, w tekstach poświęconych Konradowi Adenauerowi, starałem się zarysować różnice pomiędzy strategią RFN okresu Bonn i zjednoczonych Niemiec po 1989 roku. Można dojść do wniosku, że w obecnej chwili polityka bońska stanowi dla władz w Berlinie rodzaj współczesnego *marais germanique*, które należało przewyciężyć i przewyciężono. Wobec chaosu polityki włoskiej, niedojrzałości francuskiej taktyki małych interesików, cynicznego *désintéressement* Brytyjczyków sprawami kontynentalnymi, Berlin jest jedyną wielką stolicą Zachodu, skąd widać sprawy całego kontynentu. Mają rację te środowiska w Polsce, które twierdzą, iż gród nad Szprewą nie jest najlepszym miejscem do myślenia o Europie z punktu widzenia naszych interesów, ale też żadna korzystniejsza alternatywa nie wydaje się realna. Europa wydaje się już pogodzona z nieaktualnością *marais germanique* powojennej RFN i pokornie podporządkowuje się polityce „państwa nowego typu”.

Trudno mimo wszystko ostatecznie wyrokować, czy należałoby się cieszyć z tego, że rząd niemiecki nadaje obecnie polityczność całej Europie: bez narodowej dyskryminacji i w oparciu o idee współczesnego uniwersalizmu, czy też obawiać się, że w pewnym momencie idealistyczny sen Napoleona III zostanie przerwany jakimś nowym Sedanem? Inaczej mówiąc: kim my, słabsze ludy Europy, jesteśmy w oczach kierownictwa polityki niemieckiej? Apolitycznym „narodem poetów i filozofów” czy przyszłymi ofiarami działań z zaskoczenia; ofiarami, które uprzednio omamiono współczesną wersją myślenia romantycznego? Oczywiście te działania z zaskoczenia nie muszą mieć nic wspólnego z inwazją militarną czy jakkolwiek przemocą fizyczną. Mogą wydawać nam się tak naturalną kolejną rzeczą, że będziemy oczekiwać jeszcze od jakiegoś przyszłego Bismarcka (gdyby miał się zaktualizować), żeby po owym „działaniu z zaskoczenia” uporządkował nasze sprawy.

Łukasz Maślanka